

Kazimierz Burnat

* * *

Niebo zawiesiło skrzydła

jak wypłowiła wrona
rzuca czarny cień
na jego serce

czarno-białe punkty jaskółek
zwietrzają niepogodę
dla miłości

ale noc uwięzi cienie
i kręte ścieżki jej włosów
powiodą do źródła
początku życia

opróżnieni z tęsknot
nasiąkną światłem uniesienia

Wzniecić sens

Nie wystarczy odwrócić myśli
w inną stronę
omotać prześcieradłem sny
uśmierzone ciepłem
jej ciała
zwilżonego w starciu
z bodaj naszkicowaną podniętą

trzeba zeskalic niedorzeczność
aby nieco później
światlistymi mackami przedramion
wzniecić sens
w objęciach Morfeusza

Cmentarz zimą

Skostniałym cieniem
uzdrawiasz dusze

wiatr przegania
odpadki czasu
po taflach uwięzionej wody

ból lodowacieje

Smak przebudzenia

Chwytasz bezskórnej krawędzi
grzbietu światła znikającej gwiazdy
stając się półksiężycem

szlakiem płowiejącej czerni
wnikasz w skraj postrzegania
człowieczej wyobraźni

kruszyny żaru
znakiem trwania

nagłaśnianiem szepta

suchym podniebieniem
wchłaniasz rosę –
błękitu

Dostatek

Ożogiem podsycasz żar
dogasających drewek

w starym piecu
nadal zapach chleba
i razowych lat
z twojego zaczynu

narastającą niecierpliwość
dokarmiam pajdą
ukrytą nigdyś
w przewiewnej stodole

Cierpliwość chleba

Podniosłość ciszy
moja dusza niespokojna

z rentgenem snu
i zapachem ostatniego cienia
podchodzę do pieca
odgrzewającego dzieciństwo

podpłomyki
kołacz bochen
łopata
i szorstki napis

zamiast jubileuszu
stos

czarne chryzantemy
wykraplają się
jak białe kalie

krzyż płonie

Obcowizna

Kolejne bruzdy
tną ojcowiznę
coraz trudniej o przystań
wśród słabnących więzi

następna niepubliczna droga
sześciometrowy pas
do rozjeżdżania

stodoła głodna
stajnia cicha
jeszcze tylko żrebak
wierzga między kikutami
czereśni

spróchniały pniak
owocuje hubą

maksymalne minimum

Agnieszka Zięba

* * *

Jestem stąd. Czas się tu nie zatrzymał,
ale biegać nie lubi
i słychać jeszcze: Boże dopomagaj –
gdy ktoś maluje płot,
wrywa perz, myje okna

tu kosa jeszcze nie wisi w muzeum,
a zboże rośnie stromo,
przypomina, że na chleb pracuje się
w pocie czoła,
do odcisków na dłoniach

przy kapliczce „na Dolnym” msza:
za zbiory, od powietrza, głodu, ognia
i wojny...
tu się wierzy, że sam każdy kłós prostujesz
i trudzisz ciężarem przyszłego chleba

może dlatego tyle kapliczek przy polach –
wiadomo, pańskie oko...
i jeszcze: od powietrza, głodu, ognia
i wojny... – i pola, i łąki
i wszystkie nasze codzienne sprawy...

bliski jesteś i bardzo daleki:
kolumny kapliczek są zbyt wysokie
żeby sięgnąć Twojego boku, dłoni, stóp
startego belką krzyża ramienia...
nawet na palcach...

może dlatego jeszcze niedawno (moi umarli
do bólu zgiętego nad grządką buraków
kręgosłupa

byli żywi)
całowano księdza proboszcza w ramię jakby
i ten pocałunek mógł Ci zanieść z mszalną
intencją

może dlatego, że wierzę,
że każdy kłós znasz z ilości ziarna
i ostrza kładącej go kosy
tak łatwo mi uwierzyć, patrząc spod
woskowego krzaka bukszanu,
że to Ty idziesz w sutannie
przed wozem kwiatów i zboża
w procesji na Zielną

* * *

Dłonie
dużo brakuje im do doskonałości
czubki palców zbyt mało wrażliwe –
czują tylko ciepło
i lekką chropowatość skóry
nie zetrą ci z twarzy
zmęczenia
niedostępne dla nich
pokonanie smutku
równie mocno
opierają się im
lęk i troska
a jednak potrafią
pokonać dystans